

Lubię wolność i niezależność

Z redaktorem Wojciechem Reszczyńskim, wicedyrektorem Informacyjnej Agencji Radiowej, pierwszym prezenterem „Teleexpressu”, założycielem Radia WAWa i zapalonym żeglarzem, rozmawia Mariusz Bober

Składając serdeczne życzenia z okazji imienin (wywiad przeprowadziliśmy 23 kwietnia, w święto św. Wojciecha), pozwolę sobie zapytać, czy jakaś historia z Pana życia wiąże się z tym imieniem? Wspomniał Pan, że jest Panu szczególnie bliskie.

– Bardzo bliskie. Święty Wojciech to nie tylko patron Polski, ale całej chrześcijańskiej Europy. Reprezentował wysoki poziom intelektualny i etyczny oraz wykazywał – jak na tamte czasy – nadzwyczajną aktywność, wędrując po całej Europie od stolicy do stolicy, od władcy do władcy, wszędzie przyjmowany z wielkim szacunkiem, bo miał wielką wiedzę i mówił kilkoma językami. Z pochodzenia Czech, z powołania benedyktyn, którego ślady są widoczne na Monte Cassino, był biskupem i dyplomata, doradcą tronów i cesarza. Zmieniał i łączył ówczesną Europę, a szczególnie poświęcił się Polsce. Wybrał śmierć męczennika. 23 kwietnia 1997 r., w dniu moich imienin, do mojego Radia WAWa zaprosiłem wszystkich Wojciechów, jakich znałem, na uroczystość świętowania 1000-lecia męczeńskiej śmierci naszego patrona. Taki jest sens obchodzenia imienin, które w życiu chrześcijanina są przypomnieniem życia i drogi, jaką wybrał nasz imiennik. Zawsze gdy świętujemy imieniny, jest to także nasz ukłon w stronę wielkiego imiennika, naszego patrona, a data naszych imienin jest najczęściej datą jego męczeńskiej śmierci. Warto o tym pamiętać, zwłaszcza że obchodzenie imienin to nasza polska, katolicka specyfika. Imienin nie obchodzą ani Niemcy, ani mieszkańcy krajów anglosaskich, przestano je obchodzić w Rosji.

Ciekawe, że kiedy Wojciech Jaruzelski wypowiedział wojnę Narodowi Polskiemu, zyskał do tego stopnia złą sławę wśród Polaków, że przez dwa pierwsze lata stanu wojennego rodzice nowo narodzonych dzieci nie nadawali swoim pociechom imienia Wojciech. Był to naturalny odruch sprzeciwu wobec generała Wojciecha, tym samym wobec tego imienia, które nagle przestało być popularne, zaczęło budzić niedobre

skojarzenia. A trzeba wiedzieć, że Jaruzelski miał wtedy wszelkie atuty, skupiał w kraju całą władzę cywilną i wojskową, partyjną i rządową. Mógł wybrać inną drogę. Przez krótki czas myślałem nawet, że wybierze drogę Augusto Pinocheta, który, zawierając swoje wojsko Bogu i Przenajświętszej Maryi Pannie z góry Karmel, Patronce sił zbrojnych i królowej Chile, przystąpił do walki z rodzimą komuną, wspieraną przez sowieckich doradców wojskowych. Niestety, Wojciech Jaruzelski okazał się sowieckim janczarem, podobnie jak cała kadra dowódcza Wojska Polskiego. Tchórzostwo wytknął generałowi, co brzmi niezwykle wymownie, sowiecki generał Wiktor Dubynin, ten, który z ostatnimi żołnierzami sowieckimi opuszczał bazy wojskowe w Polsce. Powiedział, że gdyby generał Jaruzelski był prawdziwym polskim patriotą, pierwszy rzuciłby się na sowieckie czołgi, gdyby wkroczyły one do Polski. Niestety, Jaruzelski inaczej rozumiał patriotyzm. Nie zamierzał iść drogą, jaką poszedł jego wielki imiennik sprzed 1000 lat, i męczeńsko ginąć za wolność i katolicką wiarę. Tylko szeregowy żołnierz polski zachował wierność hasłom na sztandarach.

Podobno „przewietrzył” Pan Informacyjną Agencję Radiową... Po nominacji Pana na stanowisko wicedyrektora IAR w mediach, m.in. w „Gazecie Wyborczej”, straszono, że dokona Pan czystek.

– Ta informacja to fakt prasowy. Nazwy tej użył po raz pierwszy prof. Bronisław Geremek. Od tej pory istnieją „fakty obiektywne”, czyli związane z realnym wydarzeniem, i „fakty prasowe”, czyli wymyślone przez dziennikarzy i polityków, niemające nic wspólnego z rzeczywistością, a będące wyrazem ich pragnień i intencji. Faktami prasowymi od lat zajmuje się „Gazeta Wyborcza”, nie ponosząc żadnych konsekwencji. Co więcej, te fakty prasowe są namiętnie cytowane przez większość mediów. Jest to tzw. opiniotwórczość.

A co do „wietrzenia”, to użyłem tego określenia w rozmowie z dawnym znajomym z radia, mówiąc, że przychodzę tutaj do pracy, bo po 2005 r. przewietrzono trochę atmosferę w tej instytucji. Następnego dnia to zdanie znalazło się w „GW” w takim kontekście, że to ja zapowiadam „przewietrzenie” i „czystki” w IAR. Podkreślam więc, iż przychodząc do nowego miejsca pracy, nie miałem zamiaru dokonywać „czystek”.

Zresztą samo to słowo kojarzy mi się z przeszłością, kiedy to PZPR dokonywała czystek w swoim aparacie. A tak w ogóle to najlepszą „czystką” okazuje się zawsze czas. Wielu dziennikarzy odeszło z pracy, bo osiągnęło wiek emerytalny. Na szczęście w tym medium, mówię o Polskim Radiu i IAR, są dziś zatrudnieni w większości młodzi ludzie. Nie wysłała ich do pracy „na odcinku radia” żadna partia ani żadna służba bezpieczeństwa. A w przeszłości tak bywało. Należy brać pod uwagę umiejętności, talent, zapał do pracy. Młodzi dziennikarze muszą się przekonać, że ich praca ma głęboki sens, jest rodzajem publicznej służby. Na tym właśnie polega zasadnicza różnica między mediami komercyjnymi a publicznymi.

Zresztą przyzwyczailem się już, że „GW” nigdy na mój temat nie napisze nic obiektywnego. W 1991 r., kiedy zrezygnowałem z pracy w TVP po tym, jak dyrektorem „Wiadomości” został zasłużony działacz PZPR, „GW” pisała o nim z uznaniem jako o fachowcu, o mnie zaś jako o frustracie i nieudaczniku.

Ale „GW” nie była już wtedy pismem „Solidarności”...

– Pierwszym, który „przywołał do porządku” „GW”, był Lech Wałęsa, odbierając jej prawo do używania w tytule znaku „Solidarności”. W wyborach prezydenckich 1990 r. środowisko Michnika postawiło na Tadeusza Mazowieckiego. Osoby, które poparły wtedy Lecha Wałęsę, były krytykowane i traktowane jak przeciwnicy polityczni i zagrożenie dla demokracji. Co prawda przyszedł moment, że nawet A. Michnik musiał powiedzieć, iż mając do wyboru Stana Tymińskiego i Lecha Wałęsę, popiera tego drugiego. Ale to było wymuszone obawą przed wygraną nieznanego i tajemniczego Tymińskiego. Później gazeta, która początkowo cieszyła się szacunkiem całego społeczeństwa, która miała być medium „Solidarności”, stała się organem wąskiej grupy ludzi o poglądach obcych, a nawet wrogich polskiemu duchowi, polskiej tradycji, polskiej mentalności. Wyróżnia ją także „specyficzny” stosunek do Kościoła katolickiego. Nie można zapomnieć, że nie byłoby imperium Agory, gdyby nie olbrzymi kredyt zaufania niemalże całego społeczeństwa do pierwszej niezależnej gazety, za jaką wtedy uchodziła „Gazeta Wyborcza”.

Jak Pan wyjaśni to, że „GW”, która notorycznie broni byłych prominentów PRL, akurat Panu, osobie, która nigdy nie należała do żadnej partii, zarzuca, iż musiał Pan być zaufanym komunistycznych decydentów, skoro został Pan pierwszym prezenterem „Teleexpressu”?

– Z kilkunastu dziennikarzy uczestniczących w konkursie na prezentera „Teleexpressu” mnie akurat zaproponowano prowadzenie tego programu, ale pozostałe osoby również dostały pracę w „Teleexpressie”, stały się popularne, a nawet zrobiły kariery. Jolanta Fajkowska, Marek Sierocki, Zbigniew Krajewski, Piotr Radziszewski do dziś z powodzeniem pracują w zawodzie.

W tamtym okresie, a był to czerwiec 1986 r., zdecydowana większość stanowisk kierowniczych w Radiokomitecie była obsadzona przez członków PZPR. Twórca „Teleexpressu” Józef Węgrzyn uzyskał chyba od tow. Głowczyka z KC jakieś przyzwolenie na większą swobodę, dzięki czemu program mówił o sprawach, których nie poruszał zniechęcony „Dziennik Telewizyjny”. Nie był też podporządkowany Dyrekcji Informacji. Dziś z perspektywy mogę stwierdzić, że „Teleexpress” był mniej „sterowany” niż powstałe trzy lata później, już za czasów prezesa Andrzeja Drawicza, „Wiadomości”, w których również pracowałem i byłem pierwszym prezenterem i z których w końcu właśnie z powodu tego „sterowania” i powrotu na stanowiska kierownicze członków byłej PZPR postanowiłem odejść.

W środowisku „GW” jest wielu ludzi, którzy, tworząc demokratyczną opozycję, walczącą od lat z komunistycznym systemem, w momencie upadku tego systemu znaleźli sobie nowych wrogów w ludziach, którzy nie mieli nic wspólnego z komunizmem poza tym, że się urodzili i żyli w komunistycznym kraju. Równocześnie ci dawni opozycjoniści odnaleźli w byłych komunistach i agentach ludzi honoru. To bardzo ciekawe zjawisko. Odnoszę wrażenie, że środowisko „GW” trwa w błędnym przekonaniu, iż największym zagrożeniem dla Polski i oczywiście dla ich wizji polskości są ludzie, którzy deklarują przywiązanie do polskich tradycji patriotycznych, związani z polskim Kościołem, z polskim ruchem narodowym, którzy wyrażają

sceptycyzm wobec Unii Europejskiej. Ale może tak musi być, skoro w przeszłości ich rodziny, ich autorytety działały w organizacjach, dla których pochod światowego komunizmu, interesy obcego mocarstwa, były ważniejsze niż niepodległość Polski.

Dostrzegam w tym również stosowanie zasady podwójnej moralności, podwójnych standardów, gdy „GW” chce wyrazić swój negatywny stosunek wobec osób, które prezentują odmienne poglądy. Ja zaś nigdy nie kryłem swoich poglądów patriotycznych i narodowych.

Był Pan też jednym z pierwszych wnioskodawców przeprowadzenia lustracji wśród dziennikarzy...

– Byłem w niezbyt licznej grupie dziennikarzy, którzy jako pierwsi występowali w tej sprawie. Inicjatorem projektu ustawy sejmowej dotyczącej lustracji dziennikarzy był red. Stanisław Remuszko, dziennikarz „Gazety Wyborczej” w pierwszym okresie jej ukazywania się. Pierwszą petycją w sprawie lustracji dziennikarzy podpisało stosunkowo dużo osób. Część tych ludzi pod wpływem presji środowiska zmieniła zdanie. Inni wycofali się, być może również dlatego, że przekonali się, iż lustracja, choć zabrzmiała to paradoksalnie, jest możliwa do przeprowadzenia...

...czyli podobnie jak prezydent Lech Wałęsa okazali się wyznawcami zasady „jestem za, a nawet przeciw”?

– To tak, jak ze słynną uchwałą sejmową Janusza Korwina-Mikkego dotyczącą lustracji, która zmusiła posłów do opowiedzenia się za lub przeciw. Wszyscy posłowie poparli ją, bo niepodniesienie ręki wskazywałoby na związki tego posła z agenturą. Uchwałę próbował wypełnić ówczesny minister spraw wewnętrznych Antoni Macierewicz, co, jak wiadomo, skończyło się upadkiem rządu Jana Olszewskiego. Ale wcześniej, niemal równoległe z głosowaniem, wielu posłów rozpoczęło torpedowanie tej inicjatywy, choć na zewnątrz prezentowali postawy: tak, jesteśmy za rozliczeniem.

Uważam, że lustracja dziennikarzy jest potrzebna, ponieważ jest to zawód zaufania

publicznego. Lustracja pokazuje, którzy dziennikarze dali sobą sterować i mogli pisać nieprawdę, często szkodząc wielu ludziom. Lustracja powinna leżeć w interesie samych dziennikarzy, aby mogli zapewnić czytelników, widzów, że nie sprzeniewierzyli się swojemu zawodowi, że nie byli sterowani przez służby i agenturę i zachowali wiarygodność. Tymczasem wciąż bardzo silny jest opór części środowiska dziennikarskiego wobec lustracji. Tłumaczenia i wywody o naruszeniu wolności, godności, swobody są smutne i żenujące. A sprawa wciąż jest aktualna, bo wielu przeciwników lustracji i równocześnie dekomunizacji uchodzi w środowisku dziennikarskim za niekwestionowane autorytety. Nadal publikują, wypowiadają się na szereg różnych, bardzo ważnych tematów, często dotyczących polskiej racji stanu, a my mamy wątpliwości, czy ktoś za nimi nie stoi.

Przebywając niedawno w Toruniu, założył Pan moherowy beret. Co chciał Pan w ten sposób wyrazić?

– Jadąc do Torunia, kupiłem czarny moherowy beret z „antenką”, żeby go podarować ojcu Tadeuszowi Rydzykowi. Nie uważam, że współpraca ze środowiskami katolickimi, w tym z Radiem Maryja i Wyższą Szkołą Kultury Społecznej i Medialnej, jest czymś negatywnym, z czego trzeba się tłumaczyć, wręcz przeciwnie. Uważam, iż współpraca czy nawet identyfikacja ze środowiskami katolickimi jest czymś nad wyraz pozytywnym, wręcz nobilituje człowieka.

Poza tym uważam Ojca Dyrektora za kolegę po fachu – radiowca. W wielkiej radiowej rodzinie są osoby o różnych przekonaniach, ale łączy nas wspólna pasja – radio. Gdy w 1988 r. przebywałem w USA i obserwowałem funkcjonowanie tamtejszych stacji radiowych, zrozumiałem, że najważniejsze w pracy radiowców jest wytworzenie więzi ze słuchaczami. Relacja ta powinna być oparta na wzajemnym zaufaniu, szacunku, który zdobywa się przez lata. To właśnie udało się Radiu Maryja i ojcu Tadeuszowi Rydzykowi. Od lat obserwuję wściekłą nagonkę na to radio i osobę Ojca Dyrektora. Początkowo myślałem, że jest w tym dużo nieporozumień. Ludzie nie rozumieją, iż nasze katolickie zakony wykonują swoją chrześcijańską misję w różny sposób. Jedne zajmują się tylko kontemplacją, inne pomocą materialną, edukacją czy ewangelizacją

za pomocą mediów, tak jak redemptoryści. Jestem przekonany, że ataki na te wszystkie dzieła, jakie udało się stworzyć wokół Radia Maryja, są atakami na Kościół, a więc i na Polskę, gdyż tych dwóch pojęć nie da się wydzielić z historii Polski. Potwierdzeniem jest powtarzany ostatnio w mediach absurdalny zarzut współpracy nowego metropolity gdańskiego Leszka Sławoja Głódzia z Radiem Maryja. Co to za zarzut? Czy duchowny katolicki w wolnym, demokratycznym kraju nie może współpracować z legalnie działającą katolicką rozgłośnią? Przy okazji należy przytoczyć słowa nowego metropolity, który stwierdził: „Nie ma problemu Radia Maryja”. Problem mają natomiast ludzie, którzy tego Radia nie lubią i z nim walczą.

Na początku lat 90. walczył Pan o koncesję dla tworzonego przez siebie Radia WAWa. Historia tej rozgłośni pokazuje, jak trudno było wówczas stworzyć niezależne medium...

– Rzeczywiście, było to bardzo trudne. Przede wszystkim dlatego, że nie istniały żadne regulacje prawne. Była to wolnoamerykanka. Zezwolenie dla Radia Zet na nadawanie załatwiał osobiście Adam Michnik u ministra łączności Kucharskiego. O to samo zabiegał minister spraw wewnętrznych Krzysztof Kozłowski dla Krakowskiej Fundacji Solidarności, która stworzyła Radio RMF. W zupełnie obce, niesolidarnościowe ręce, trafiło podziemne Radio Solidarność, zwane później Eską. Dużo napisano o tym, kto i jaki kapitał budował prywatne telewizje. Wspomniane radia mogły nadawać dzięki wsparciu i zapleczu politycznemu. Moje Radio WAWa tuż po uruchomieniu zostało zamknięte, a mnie jako jedyne okrzyczano piratem. Musiałem przez wiele miesięcy szukać poparcia u prezydenta, Prymasa, w Sejmie, w Senacie, wyjaśniając, że przecież mam takie samo prawo do nadawania, jak działające już bez przeszkód i zdobywające rynek radia ZET i RMF. Później, gdy powstała Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji, dostałem, podobnie jak inni nadawcy, koncesję. Nie mogłem jednak dalej liczyć na wsparcie mojego programu rozwoju sieci przez zdominowaną przez postkomunistów Krajową Radę.

Czy decyzje podejmowane wówczas przez KRRiT zdecydowały o podziale wpływów w mediach?

– Na pewno decyzje te zdecydowały o kształcie rynku radiowego i telewizyjnego, gdy przyznawano częstotliwości umożliwiające nadawanie. Jednym pozwalano się rozwijać, innym ograniczano te szanse. To, że koncesję przyznano Radiu Maryja, to efekt starań wielu ludzi. A może i ręka Opatrzności. Czy dzisiaj byłoby to możliwe, skoro przeciwnikami tego radia są także niektórzy biskupi?

Mimo licznych ataków Radio Maryja się rozwijało. Zaczęto o nim pisać jako o „imperium o. Rydzyka”, choć to chyba Agora zbudowała prawdziwe medialne imperium. Mimo to właśnie toruńska rozgłośnia została przez większość mediów potraktowana jako główny przeciwnik, jako wręcz „skrajna” rozgłośnia. Redaktor Piotr Wierzbicki, były naczelny „Gazety Polskiej”, stwierdził nawet, że poglądy, jakie prezentuje Radio Maryja i „Gazeta Wyborcza”, są równie skrajne. Skąd biorą się takie opinie?

– Polemizowałem z Piotrem Wierzbickim na ten temat i byłem zdumiony, że wygłasza takie poglądy, nie słuchając tego Radia. To tak, jakbyśmy całą gazetę oceniali na podstawie jednego działu czy jednej rubryki. Tak samo radia nie można w sposób jednoznaczny oceniać na podstawie jednej godzinnej audycji, poświęconej aktualnym tematom. Porównanie Piotra Wierzbickiego jest krzywdzące dla Radia Maryja.

W 1991 r. opublikował Pan książkę „Byłem dziennikarzem”. Pod pewnym względem była ona przełomowa. Pisał Pan o sobie jako o dziennikarzu w czasie przeszłym, ale nie porzucił Pan tego zawodu?

– W 1989 r. sądziłem, że zachodzące wówczas zmiany polityczne wymuszą również przemiany w mediach publicznych, przede wszystkim w Telewizji Polskiej, że wreszcie odejdą skompromitowani ludzie, a media przestaną kłamać. Niestety, rozczarowałem się i pewnie dlatego napisałem tę książkę. Ale była też przyczyna bezpośrednia. Musiałem jakoś zareagować na kłamstwa na mój temat, jakie znalazły się w książce Aleksandry Jakubowskiej i Jacka Snopkiewicza „Naga telewizja”. Jeszcze jednym powodem było wyjaśnienie przyczyn mojego odejścia z „Wiadomości” TVP.

Przesądziło o tym awansowanie mojego byłego szefa z III Programu Polskiego Radia, członek PZPR, na stanowisko dyrektora Telewizyjnej Agencji Informacyjnej.

W pytaniu zawarł pan tezę, że książka pod pewnym względem była przełomowa. Rzeczywiście. Opisałem w niej rozmowę z radiowym ubekiem, jaka miała miejsce w Trójce na Myśliwieckiej. Ten pan namawiał mnie do podpisania oświadczenia o zachowaniu treści naszej rozmowy w tajemnicy, podsuwając mi czystą kartkę. Pewnie ze względu na ten fragment książka była przemilczana. Choć nie do końca. „Gazeta Wyborcza” ze swoją krytyczną recenzją czekała na dzień jej promocji, by popsuć mi dobry nastrój. Zaś niezaproszony na promocję, ale obecny na niej Grzegorz Miecugow, dziś gwiazda TVN 24, przyznał mojej książce w plebiscycie „Sztandaru Młodych” tytuł „bubla miesiąca”. Uznałem to za najlepszą recenzję.

W 1990 r. wspierał Pan kandydaturę Lecha Wałęsy w wyborach prezydenckich, prowadził Pan w telewizji jego kampanię. Pańska rola została nawet utrwalona w filmie...

– W tym czasie podjęcie decyzji o udziale w kampanii wyborczej Lecha Wałęsy było prawie że koniecznością. Trzeba pamiętać, iż wtedy istniał jeszcze tzw. Radiokomitet [instytucja powołana w 1951 r. do kontrolowania radia i telewizji – przyp. red.]. Premier, wówczas Tadeusz Mazowiecki, był siłą rzeczy jego szefem. Była to instytucja rządowa, a nie publiczna. Szefowie tych mediów, czołowi dziennikarze przyzwyczajeni do serwilizmu wobec aktualnej władzy sprzyjali wyborowi Mazowieckiego na prezydenta i robili wszystko, by skompromitować Wałęsę. Posunięto się nawet do tego, że w „Wiadomościach” znalazł się materiał, w którym porównano Wałęsę do Hitlera. Wałęsa jeszcze wtedy deklarował chęć zmian, przyspieszenia, rozliczenia, dekomunizacji itd., a więc tego, czego i ja oczekiwałem, co popierałem. Mazowiecki zaś, zwolennik „grubej kreski”, był prezentowany jako „siła spokoju”, więc dawał szansę na przetrwanie w mediach tego status quo. Dlatego cała machina telewizyjna zaczęła pracować dla jego sztabu wyborczego. Początkowo ja też pracowałem. Ale widząc, co się dzieje, postanowiłem nie przykładać do tego ręki. Wziąłem urlop bezpłatny i przyłączyłem się do sztabu wyborczego Lecha Wałęsy. Ten jednak

niedługo po swym wyborczym zwycięstwie zmienił kurs o 180 stopni. Zaczął wspierać „lewą nogę”. I tak chyba mu do dziś zostało. Zresztą kto to może wiedzieć. Wałęsa to sfinks. Dla mnie nadal pozostaje zagadką.

Jaką rolę w Pańskim życiu odgrywa rodzina? Pochodzi Pan z Olsztyna, ale jak widać, zostawił Pan rodzinne strony dla stolicy?

– Jeśli Polak pochodzi z Olsztyna, to znaczy prawie na pewno, że jego rodzina znalazła się tam po wojnie. Tak też było z moimi rodzicami, którzy przeprowadzili się do Olsztyna w 1945 r. z Lubawy, małego miasteczka leżącego przed wojną tuż przy granicy polsko-niemieckiej. Po wojnie Olsztyn był jednak w większości zasiedlony repatriantami ze Wschodu.

Lubawa i Olsztyn to w dawnej Polsce siedziby biskupów warmińskich. Szkoda, że tak nie zostało. Wolałbym jako urodzony na Warmii podlegać bezpośrednio Stolicy Apostolskiej niż Brukseli – jako obywatel euroregionu Bałtyk.

Ojciec był przedwojennym harcerzem chorągwi toruńskiej. Za harcerstwo siedział w KL Sachsenhausen – Oranienburg. Mama chodziła do prywatnego gimnazjum w Bydgoszczy. Maturę zdała w maju 1939 r., a już w październiku została zesłana na przymusowe roboty do Malborka. W moim domu stosunek do PRL był jednoznaczny. Uważaliśmy ten system za narzucony siłą, który trzeba przetrwać, a przy sprzyjających okolicznościach zmienić.

Jak kształtował Pan swoją drogę dziennikarską? Odrzucał Pan metody i sposób działania mediów kontrolowanych przez komunistów, a przecież trudno było wtedy o niezależne wzorce.

– Pierwszym człowiekiem, którego zapamiętałem z nonkonformistycznej postawy, a spotkałem go w Polskim Radiu, był redaktor Stanisław Skotnicki, syn gen. Grzmota-Skotnickiego [żołnierz Legionów Polskich i uczestnik kampanii wrześniowej, podczas której poległ – przyp. red.]. Jego postawa imponowała mi, władza ludowa go nie

złamała. W 1956 r. wyszedł na wolność z celi śmierci. Podziwiałem jego przedwojenny humor, celne riposty, kpiny z partyjnych aparatczyków. To on objaśnił mi tamte „radiowe układy”. Prawdy o komunizmie dowiedziałem się w domu, od rodziców i starszych braci, a także od zwykłych ludzi, z którymi się stykałem, a którym obce było to „ukąszenie heglowskie”.

Pogardzany dziś przez tzw. elity lud, „moherowe berety”, czyli słuchacze Radia Maryja, są – można tak powiedzieć – solą tej ziemi. Chciałbym, żeby tacy ludzie też mieli wpływ na to, co się dzieje w Polsce, żeby mieli prawo powiedzieć, co myślą o tych, którzy nam tak tę Polskę „urządzili”. Ci ludzie często lepiej rozumieją realia niż niektórzy tzw. opiniotwórcy. Szczytem pogardy dla tych ludzi był artykuł red. Jacka Pałasińskiego, zamieszczony 9 lipca 2007 r. na stronie internetowej TVN 24. W artykule „Gdzie jest Polska?” Jacek Pałasiński przekroczył wszelkie granice. Zwracając się do byłego premiera Jarosława Kaczyńskiego, ubliżył uczestnikom pielgrzymki na Jasną Górę. Ciekawe, co by było, gdyby tak wszyscy uczestnicy tej pielgrzymki pozwali Jacka Pałasińskiego do sądu o zniesławienie? Ale na razie to TVN występuje najczęściej w sądach jako oskarżyciel. A Pałasiński dzięki temu straszemu artykułowi pewnie zyskał w TVN jeszcze większą pozycję.

W wolnej Polsce ludzie mający odpowiadać za komunikację między władzą a społeczeństwem gardzą zwykłymi ludźmi...

– Przykro to powiedzieć, ale inteligencja jako klasa polityczna okazała się najbardziej ze wszystkich warstw społecznych podatna na komunistyczne, obce naszej cywilizacji wpływy. Widzieliśmy to we Lwowie i w Wilnie pod sowiecką okupacją, a także w całym okresie powojennego półwiecza. Nasza noblistka Wisława Szymborska do tej pory nie przeprosiła za swoje wiersze chwalone Stalina czy Lenina, o którym pisała jako o „Adamie nowego człowieczeństwa”. Tymczasem jej ekspiacja mogłaby przestrzec młode pokolenie przed naiwnością i uleganiem panującym ideologiom. O tym właśnie mówi o. Tadeusz Rydzyk, gdy nawołuje, by iść pod prąd i gdy przypomina, że tylko śnięte ryby płyną z prądem.

Dlaczego został Pan dziennikarzem?

– To pytanie wbrew pozorom nie jest łatwe. Złożyły się na to: ciekawość świata, zamiłowanie do historii i literatury, chęć bycia aktywnym, zaangażowanym, poszukiwanie prawdy i pragnienie niesienia pomocy ludziom. Ponadto lubię wolność i niezależność osobistą.

Jak wspomina Pan rejsy odbywane na „Pogorii” czy „Zawiszy Czarnym”?

– Żeglowanie na tak dużych jednostkach to szkoła życia. To nie jest slogan. Na takich żaglowcach trzeba pracować zespołowo. Każdy odpowiada za drugiego człowieka. Jednak jest miejsce na charakterystyczny dla żeglarstwa indywidualizm i romantyzm. Można się znaleźć w tej wspaniałej przestrzeni między niebem i morzem i przekonać się, jak piękny jest świat, jak wiele zawdzięczamy naszemu Stwórcy. Żeglarstwo to również okazja do zawierania trwałych przyjaźni. Życie na statku weryfikuje słowa, czyny i umiejętności. Tam się nie da udawać, kombinować, cwaniakować. Polecałbym żeglarstwo zwłaszcza młodym ludziom. Ci, którzy przejdą tę szkołę, zwykle zyskują silny kręgosłup moralny, który pomaga im iść wyprostowanymi przez życie. Większość żeglarzy wyrasta na porządnych ludzi. Poza tym tylko dzięki żeglarstwu można dotrzeć do takich miejsc na ziemi, których z innej perspektywy nie dałoby się zobaczyć.

Wypoczywa Pan tylko na morzu?

– Prawdziwy wypoczynek to wypoczynek na wodzie, na morzu i na jeziorach. Jest jednak pewne niebezpieczeństwo takiego wypoczynku...

Jakie?

– Jedzenie przygotowane przez kuka jest najsmaczniejsze, a morskie powietrze wzmacnia apetyt, można więc łatwo przytyć...

Wspinanie na maszty nie pomaga spalić tych smakołyków?

– Owszem, ale jak trzeba płynąć na silniku, bo często długo nie ma wiatru, albo jak trzeba wracać do portu, by zdążyć na powrót do kraju?

Ale „Pogorią” nie da się chyba wypływać na zawołanie, jak Pan odpoczywa np. w soboty i niedziele czy podczas krótkich urlopów?

– Żegluję na swojej łódce, która staje się wtedy dla mnie najwygodniejszym domem.

Dziękuję za rozmowę.